NUMER 26. DNIA 8. LIPCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.



POMNIK BARTOSZA GŁOWACKIEGO.



POMNIK BARTOSZA GŁOWACKIEGO.

Pomnikiem bohatera w sukmanie stawia społeczeństwo kamienne wyobrażenie własnych wierzeń, upajających snów, najszlachetniejszych porywów zbiorowej duszy narodu. Stawiając pomnik Bartoszowi Głowackiemu, stawia naród pomnik przedewszystkiem sobie samemu, własnej myśli politycznej, która za dogmat zbawienia narodowego to uznała, czego uznać nie chciała szlachecka Rzeczpospolita.

Bo takich bohaterów w sukmanie, jak Bartosz Głowacki, ma historja polska bardzo wielu. Wszyscy oni grubym pyłem zapomnienia pokryci, nawet historyk tylko z trudnością ich czyny wspomni, czyny nieraz bardzo wielkie, ale takie równocześnie, którym naród w pamięci swojej żadnych nie stawiał pomników. W rotach, co krew lały pod Grunwaldem, w wyprawach moskiewskich Stefana Batorego, w piechocie wybranieckiej, w dragonji Stefana Czarnieckiego, na wszystkich wiekopomnych pobojowiskach Rzeczypospolitej lała się krew chłopa polskiego, wykwitały czyny bohaterskie, które chłopską sukmanę w rycerski pancerz staliły. A Wieloch? — Michałko, chłopski bohater z czasów wojny szwedzkiej, a górale podtatrzańscy, broniący majestatu Jana Kazimierza, a chłopski szyk bojowy, gromiący Szwedów pod Nowym Sączem — a śluby Jana Kazimierza jako uroczyste pokwitowanie długu, zaciągniętego przez Rzeczpospolitą u stanu chłopskiego?

Dlaczegoż więc tylko bohaterski czyn Bartosza Głowackiego, w pomniku wykuty, staje na oczy teraźniejszego i przyszłych pokoleń? Dlaczegoż naród cały od wieku upaja się zdobyciem przez chłopów dziesiątka armat moskiewskich, wówczas, gdy nie dziesiątki, ale setki armat moskiewskich, austrjackich, pruskich trzeba było zdobyć, potokami krwi zalać nieszczęsną krainę, co tak cicho i wygodnie kładła się na łoże męki i tortury niewoli.

Dlatego, że czyn Bartosza Głowackiego pierwszem serdecznem drgnieniem targnął duszę narodu, a sam był ostatniem *memento* zmarnowanych wieków. W spiżowym blasku zdobytych pod Racławicami armat przyglądnął się naród po raz pierwszy, jak w zwierciedle i ujrzał, że jest niezupełnym, kaleką, pozbawionym najzdrowszej i najtęższej prawicy. Ujrzał i zrozumiał, że wszystkie jego wysiłki, wszystka praca, cała budowa nowego gmachu Rzeczypospolitej będzie daremną, jeżeli się nie oprze na silnym fundamencie ludu wiejskiego.

A późniejsze bolesne doświadczenia i rozczarowania walk narodowych utrwalały jeszcze ten obraz, który się okazał w odbiciu armat racławickich. Polskie powstania nie wywalczyły Polsce wolności, a równocześnie chłop polski na polach Lombardji, Czech, Szlezwiku podtrzymywał zmurszały gmach rzeszy rakuskiej, równocześnie „Bartek zwycięzca“ fundował cezarowy tron Hohenzollernom i jednym z filarów był samodzierżawia Romanowów.

I przyszło wreszcie upamiętanie. Lud wiejski stał się już w ogólnem przekonaniu solą i siłą narodu, tegoż ludu uobywatelenie narodowem przykazaniem, ludowa Polska hasłem i nadzieją.

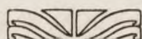
Za tym wpływem i pracą podniósł się duch narodu. Pomnożony o miljonowe, siermiężne zastępy stał się on, jako piasek w morzu, licznym, niezłomnie silnym, żywotnym ponad wszystkie burze i złość nieprzyjaciół. Z ufnością począł patrzeć w przyszłość, coraz to jaśniejszą i bliższą wielkich ideałów Kościuszkowskich.

A wyrazem tej myśli narodowej są mnożące się pomniki chłopa-bohatera. Nie ma w nich nic osobistego, nic, coby indywidualne zasługi pamięci potomnych przekazać pragnęło. Wszak nawet rysów i postaci Bartosza Głowackiego nie znamy, jego życiorys mimo badań historycznych

niezbadanym pozostał, jego dalsze losy nie zupełnie znane.

Więc nie chłopu stawiacie pomnik, wy wszyscy, którzy dziś w uroczystym pochodzie pójdziecie na łyczakowskie wzgórze i wy, co myślą, a sercem w tej będziecie uczestniczyli uroczystości, ale sobie samym. Wam ten pomnik i dzieciom waszym przypomni, żeście się nietylko sukmany chłopskiej nie powstydzili, ale uznali ją za pancerz stalowy, za zbroję rycerską na puklerz silny przyszłości narodu.

Ale wam ten pomnik gorzkim się stanie wyrzutem, jeśli sterczeć będzie tylko jako symbol bez treści, upojenie bez czynu, pieśń bez potężnej myśli. Lud nie potrzebuje kamiennych bloków, bo sam jest granitową skałą i fundamentem, lecz ci, co na tym fundamencie Polskę pragną odbudować, niech pamiętają, że pomnik Bartosza Głowackiego jest ich wyznaniem wiary, za którem czyny pójść muszą.



A. Kallas.

JAK SEN...

FRAGMENT DRAMATYCZNY W 1 ODSŁONIE.

Ukochanej Matce mojej.

OSOBY:

KWIECIŃSKI — BRONISŁAWA
KWIECIŃSKA — SŁUŻĄCA
IRENA — GŁOS ZA SCENĄ.

Scena przedstawia salonik, dokąd tymczasowo wstawiono łóżko, zasłonięte w części ładnym parawanem. Z lewej okno. Bliżej, ku przodowi, kanapa, dwa fotele i stolik. W głębi drzwi do dalszego mieszkania — na prawo do przedpokoju.

SCENA 1.

KWIECIŃSKA — BRONISŁAWA — IRENA.

(Na kanapie zdrzemnęła się Kwiecińska. Na fotelu siedzi Bronisława i daremnie walczy ze snem. Obok parawanika stoi Irena, która właśnie zeszła z łóżka — zarzuciła na siebie szlafroczek i obuwa teraz pantofelki. Irena zbliża się na prawo bez szelestu. Ale czujne ucho Bronisławy posłyszało szmer — odwraca głowę — zrywa się z miejsca).

BRONISŁAWA: Ira!

KWIECIŃSKA (zaspana podnosi się): Co się stało? (zobaczyła Irenę — zerwała się z kanapy, zbliża do Ireny). Dziecko... co czynisz...!

IRENA: Boję się. Każda myśl stała się obrazem i obraz każdy nabiera życia. Wszystko widzę już tu. Jakby ta ściana z oknem osuwała się gdzieś w dal i zostawiła wolne przejście na ulicę. — A tam, na ulicy, już nie widać bruków. Nic... tylko woda... Wchodzę wprost w te nurty... Idę i tonę... Tonę!...

KWIECIŃSKA: Masz gorączkę... Chodź do łóżka.

IRENA: Nie chcę tam... Tu lepiej...

BRONISŁAWA: Nie należy się jej sprzeciwiać... Dobrze Iruś!... Niech ją mama otuli plaidem.

IRENA: I tą jedwabną, haftowaną chustką..

KWIECIŃSKA: I tą też (otula ją białą jedwabną, haftowaną chustką — antyk familijny). A pantofelki na nogach masz?... To dobrze...

IRENA: Ciemno. Czemu tak ciemno tutaj?

KWIECIŃSKA (zdjęła abażur z lampy): A teraz już dobrze, co?

IRENA (nie zważa — patrzy w okno): Taki przykry, jednostajny szmer... Czy to deszcz pada?

BRONISŁAWA: Tak.

(Wtem za oknem — w dole — ktoś gwizdnął — poczem z dala, jakby na sygnał, odpowiada świstawka).

IRENA: Co to?

BRONISŁAWA: To rybacy dają znać sygnałami, że czuwają. Wisła wezbrała.

IRENA: Czy już wylała?

KWIECINSKA: Głupstwo!... Nic nie będzie!... Nie bój się, Iruś!... Nas woda nie zabierze. Zanimby dostała się tu, na piętro, musiałaby wpierw zalać cały Kraków.

IRENA: Pamiętam wylew Wisły... trzy lata temu. Kołyska z dzieckiem płynęła samym środkiem rzeki. Zdaleka niósł wiatr przeraźliwe krzyki ludzkie i przeraźliwszy jeszcze ryk bydła...

KWIECIŃSKI: Po co się ty temi wspomnieniami dręczysz?...

IRENA: Myślę...

KWIECIŃSKA: Spróbuj nie myśleć... o niczem nie myśleć.

IRENA: Próbowałam, ale tak nie można... A tu... każda myśl boli, jakby była gwoździem, który ktoś niewidzialny wbija pod czaszkę. Oh... Jerzy!... Jerzy... Czemu on odszedł? Mógł zaczekać, aż umrę. Dlaczego odszedł?... Czym już nie piękna? A może bał się mojej choroby i przerażał go wasz smutek...?

KWIECIŃSKA: Przyrzekłaś, że nie będziemy już o tem mówiły.

BRONISŁAWA (prowadzi Irenę ku kanapie):

IRENA: Nie bój się, Broniu... Nie stłukę się w twoich rękach, (ułożyła się na kanapie). Teraz dobrze, (gdy matka chce jej podać poduszkę). Nie... nie!... Nie te poduszki z łóżka. Te tu wystarczą.

Nie żałujecie ich dla mnie? Takie miękkie i ładne. Chodź tu, mamo... przytul mnie...

KWIECIŃSKA (usiadła okok Ireny): W łóżku byłoby ci wygodniej. (Pieszczotka).

IRENA: Nie... nie!... (Po chwili). Gdzie ojciec?

KWIECIŃSKA: Poszedł do miasta.

IRENA: Aha... wiem... Słyszałam... Spałam, ale słyszałam przez sen... (Gdy znowu świstawki sygnalizują czujność straży nad brzegami Wisły). Jakaś smutna trwoga jest w tem nawoływaniu.

BRONISŁAWA: Tak ci się wydaje po nocy...

IRENA: Która godzina?

KWIECIŃSKA: Dziesiąta dochodzi.

IRENA: I ja długo spałam?...

BRONISŁAWA: Godzinę, a może i dłużej... Mama zdrzemnęła się tymczasem...

IRENA: Czuwacie... Już tyle tygodni czuwacie... I po co? Ja nigdy już nie będę zdrowa...

KWIECIŃSKA: Iruś!...

IRENA: Teraz cicho... Możnaby myśleć, że to wszystko się śni... Wszystko minie, jak sen... I jak sen wyda wam się ta moja choroba...

KWIECIŃSKA: Irenko... chodź do łóżka... tak nie można... Doktor będzie się gniewał.

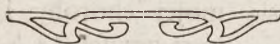
IRENA: Pamiętasz, mamo... kiedy się tu czyniły przygotowania do ślubu Maryni — — szczęście było u nas, w domu, w tym radosnym dniu jej wesela. A potem Marynia odjechała i było znowu tak jednostajnie cicho i szaro. Aż przyszedł Jerzy i wniósł tu z sobą wesoły swój śmiech i ukochanie życia — —

KWIECIŃSKA: Iruś moja...

IRENA: Jak sen minęło wszystko...

BRONISŁAWA: Niech mama użyje swej powagi i zabroni jej mówić. My tu zamęczamy się dla niej, a ona drwi z lekarza, z nas, z choroby.

KWIECIŃSKA: Może już pora dać lekarstwo?... Iruś... nie zważaj na to, co Bronia powiedziała. Zdenerwowana i rozżalona... za dnia pracuje w szkole i na lekcjach... od ośmiu dni nie spała w łóżku... (C. d. n.).



ALBERT SOREL.

Urodzony w 1842 roku, Albert Sorel stawał się mężem dojrzałym w roku nieszczęsnym 1870, kiedy Francja cesarska nie umiała się oprzeć nawałnicy teutońskiej, prowadzonej przez Bismarka i Moltkego. Ludność miast wielkich, a szczególnie Paryża, wierzyła jeszcze, że nowoogłoszona republika potrafi, jak różdżką czarodziejską, przebudzić ze snu legjony całe do walki z najezdcą i przynieść zwycięstwo krajowi. Napróżno! Armje źle zorganizowane i jeszcze gorzej prowadzone przez dowódców nieudolnych były szybko rozpraszane przez wojska niemieckie... Paryż musiał kapitulować i Francja zawarła pokój, płacąc haracz z 5 miljardów i co gorsza, oddając wrogowi część swego terytorjum.

Więc — mówili ludzie zrozpaczeni — republika nas nie ocaliła, nie dała nam tego zwycięstwa, które przynosiła nam sto lat temu. Dlaczego?

Takie pytanie postawił sobie Taine, jeden z mistrzów nauki europejskiej, sława Francji. Uczony, zamknięty w swej pracowni, umiejący tylko w czterech ścianach swego pokoju podziwiać zdobycze ducha ludzkiego, natury przytem niezmiernie prawej i całkowitej, Taine chciał się oderwać od smutnej rzeczywitości i przeniósł się duchem do wielkiej epoki z końca XVIII. wieku, kiedy narodziły się „Początki Francji spółczesnej“.

Oderwał się od dnia dzisiejszego, bo raziły go ułomności ludzkie i nieudolności polityczne spółczesnych mu republikanów, bo bolał nad porażkami ojczyzny i nad brakiem swobody swych współobywateli. Tymczasem w przeszłości odkrył on te same ułomności ludzkie i rażony był widokiem, że prawie dziesięć lat rewolucji doprowadziły do hańbiącego despotyzmu Napoleona pierwszego. Prawość charakteru Taine'a, przy niektórych ciasnych ramkach jego sposobu myślenia o całości wypadków, wprowadziła tego badacza tak skądinąd bezstronnego i daleko widzącego w stan roznamiętnienia nieokiełznanego, że jego dzieło największe stało się filipiką przeciw ułomnościom wodzów rewolucyjnych.

W tym samym czasie Albert Sorel, powodowany temi samemi cierpieniami skołatanej duszy patrjotycznej, przerzucił się z literatury nadobnej, której się był oddał z początku, na pole badań historycznych. „Traktaty z 1815 roku“ przyciągnęły uwagę młodego, bo zaledwie 30-letniego historyka; wszak w 1815 roku Francja była, jak w 1871 roku, po najeździe obcym.

Sorel miał dostęp do wszystkich archiwów państwowych. Zamianowany pomocnikiem sekretarza senatu, a następnie sekretarzem generalnym Wyższej Izby prawodawczej Francji, Sorel oddał się wyłącznie pracom nad dziejami dyplomacji Francji nowożytnej. Jednocześnie wraz z Taine'm

i Boutmy'm wstąpił do nowozałożonej szkoły nauk politycznych, gdzie dzielił się z pokoleniem młodem wrażeniami, jakie wynosił ze śledzenia za dziejami ojczyzny zranionej.

I Sorel zatrzymał się nad wypadkami z końca XVIII. wieku. Zwycięstwa armji rewolucyjnych i pochód tryumfalny Napoleona przez Europę całą, dały mu uspokojenie ducha. Artysta z natury, był on wolnym od tej żółciowości, w jaką wpadł Taine — nietylko myśliciel, ale i moralista. Podczas, gdy Taine, który w duszy swej cierpiał, odczuwał potrzebę smagania tych, których uważał za ojców grzechu politycznego Francji — Albert Sorel zapatrzył się w sztandar trójkolorowy, przed którym uciekało żołdactwo monarchiczne Europy skoalizowanej i w uszach pisarza układała się symfonja z dźwięków Marsyljanki zwycięskiej. Podczas, gdy dla Taine'a autorowie rewolucji i Napoleon zjawiali się jako zabójcy swobody i ładu we Francji, — Sorel widział ich w fałdach anioła chwały, wieńczącego Francję z XIX. wieku. Stąd ta obrazowość, świeżość i to bogactwo sceniczne w dziele „Europa i Rewolucja francuska“. I jeżeli Francja zwyciężona w 1871 roku nie otrzymała jeszcze odwetu nad Teutonami na polu Marsa, to Sorel na polu myśli i badań naukowych mógł się poszczycić tem, że pomścił niejeden wybryk krzyżacki Sybel'a, który przedtem pracował nad tym samym przedmiotem — któremu uczony francuski poświęcił 20 lat życia.

Ale i dla Sorela rewolucja przestaje być epopeą samą w sobie. Przeciwnie: występuje ona jako epizod oddzielny, we wszystkich swych szczegółach, jako ogniwo fatalne, skute z epoką Ludwika XIV. i z polityką Richelieu'go. I o ile mistrzowskim jest tom pierwszy tej pracy, w której zestawiony jest światopogląd siły, dotychczas przeoczany wobec zasłuchania się w światopogląd rozumu, o tyle Sorel wydaje się nam być nieraz jednostronnym, gdy na epokę, którą bada, nakłada tak gęstą sieć łączności z przeszłością, że nie widzimy wcale posiewu chwili, posiewu sezonu.

Sorel staje nieraz na przeciwległym biegunie jednostronności roznamiętnionej, którą spotykamy u Taine'a i przyznamy się otwarcie, że ten biegun przeciwległy jest dla nas dziwnie sztuczny, dziwnie zimny, dziwnie od duszy oderwany. Z Taine'm bowiem czujemy kipiątek krwi, z którą nasza własna krew się zlewa. I dziwna zaiste rzecz, że to właśnie ten pozywista zachowawczy, Taine umie nas rozgrzewać, nawet gdy z nim na noże jesteśmy, bo wlał w swą pracę kryterjum wszechludzkie i wszechczasowe. Gdzie Sorel jest jednostronnym, widzimy pewien sentymentalizm patrjotyczny, trochę bezsilny w dniu dzisiejszym i szukający odwetu aż w epoce Ludwika XIV.

Ta jednostronność Sorela nie jest jego osobistą jednostronnością; spotykamy ją u pisarzy, którzy po 1870 roku w dziejach krajowych otuchy i siły szukać poczęli. I spotykamy ją u ludzi przeróżnych przekonań politycznych i przeróżnego stopnia kultury. Spotykamy ją np. u Sorela, artysty i europejczyka, oraz u Aularda, ikonoklasty i wąskiego montagnard'a paryskiego.

Swą pracę klasyczną Sorel rozpoczął w 1885, a ukończył zaledwie rok temu, niemal że przed śmiercią. W roli profesora zalety Sorela występowały z siłą jeszcze większą, bo złączone z czarem osobistości dobrej, wrażliwej i kultury wyrafinowanej.

I trudno nam pominąć jeszcze grację, którą uczony ten pierwszorzędny umiał wykazać jako pisarz — nawet w dzienniku „Temps“, gdzie zdawał sprawę z wrażeń swych, jakie odnosił — i z bogatej reminiscencji naukowej, jaką budziła w nim najnowsza literatura historyczna.

Nadmienimy w dodatku, że Albert Sorel był członkiem Akademji francuskiej, gdzie zajął miejsce Taine'a, którego zastąpić atoli pretensji nie miał. Ale i w Sorelu akademja oraz piśmiennictwo francuskie traci mistrza pierwszorzędnego, który umiał swym badaniom naukowym nadać urok niezmierny, który umiał akty zbutwiałe w archiwach powołać do życia, pełnego siły.

Stanisław Mendelson.



Bulasowe przygody i kwiaty.

Urodziła go skalna ziemia, wykołysała bieda i chłód. Nie pieściły jego duszy srebrne poszumy fal błękitnych jezior, ani też słońce nie darzyło go pokrzepiającem światłem swojej mocy. Mgła, mgła gęsta a czarna, smutek straszny jałowych ugorów, żałobny płacz gibkich smereków i gwarny szept przyziemnych jałowców, twarde skały i bełkoczące potoki — oto, co mu było pierwszą przygrywką go życia. Poręba wielka, Orkana wieś

rodzinna, nie prorokowała dla drugiego swego artysty żadnej przyszłości jaśniejszej. Mrok tam panuje chłodny i taka posępność, że raczej można myśleć o dokumentnem skapaniu, niż o jakimkolwiek rozwoju władz duszy człowieczej. A pomimo to, czy może właśnie dlatego, Poręba wielka wydaje już drugiego człeka, którym dziś musi się już społeczeństwo polskie zainteresować. Ongiś, za chłopięcych swych czasów, bydełko wypasał na polanach, włóczył się po wertepach, zbijał bąki i wyrzynał zydkiem (kozikiem), kupionym zapewne na jakim odpuście, ołtarzyki, świętych i insze świętości. Dziwny człek: Jan Bulas, najpierw pasterz, potem chłopak w sklepie, potem uczeń szkoły rzeźbiarskiej w Zakopanem, potem uczeń Akademji sztuk pięknych w Krakowie — dziś Jan Bulas, artysta-malarz, na chwałę gór, które go w świat parły.

Urodził się Jan Bulas w Porębie wielkiej w r. 1878 — i ledwo podrósł, zaraz jął dumać o wypełnieniu swego przeznaczenia. Pasł owce, dłubał w drzewie i myślał, „cyby jako nie zostać... księdzem“. Parło go cosi w świat. Juści matusia poszli na poradę do Niedźwiedzia, do księdza proboszcza. Po naradach oddano Jasia do sklepu, do Krakowa. Pięć lat łupił zające i płukał śledzie w tym sklepie, aż otrzymał świadectwo handlowe. Wtedy p. Bulas zastanowił się znowu nad swem przeznaczeniem i bez wiedzy ojców palnął pierwszego figla artystycznego. Przyjechał do Zakopanego i tu przez dwa lata uczęszczał do Zakopiańskiej szkoły przemysłu drzewnego. W trzecim roku „przeniósł się“ do krakowskiej akademji sztuk pięknych i tu ukształcał swój talent u profesorów Cynka, Wyspiańskiego, Mehoffera i Stanisławskiego.

Człeczyna nieduży, krępawy, twarz rozkwitła, jak łąka po deszczu, oczy i usta bajecznie gazdowskie — w miarę uśmiechnięte i w miarę poważne; w stosunku do ludzi zawsze wyczekujący, odpowiednio gadatliwy i o ile trzeba, milczący. Przytem jest przemyślny — iście po góralsku. Własnym przemysłem i pracą doszedł... nie do chleba, ale do możności wypowiadania się w umiłowanej przez siebie formie.

W Krakowie już go znają. We Lwowie po raz pierwszy daje się poznać świeżo otwartą wystawą swych prac w Tow. przyjaciół sztuk pięknych. Najdłużej uczył się pod kierunkiem Stanisława Wyspiańskiego, to też ta bujna indywidualność wyryła znaczne ślady na talencie p. Bulasa. Zwłaszcza w portretach pastelowych, których artysta wystawił we Lwowie cztery, mianowicie: portret matki Orkana, na tle dojrzałych ostów, o cichym, zasępionym wyrazie — dwa portrety siostry Orkana, z tych jeden bardzo ładny na tle zimowego, porębskiego krajobrazu — i czwarty, na którym technika Wyspiańskiego zostawiła najsilniejszy znak, portret prof. Smreczyńskiego, brata Orkana. Jedno zauważyć mogę, że dekoracja, tło, na którem p. Bulas tworzy głowę ludzką, wysuwa się zawsze na plan pierwszy i bardziej interesuje, niż głowa. P. Bulas nie wypowiada się bowiem w portrecie, lecz w kwiatach i wszelkiej roślinności, którą serdecznie ukochał.

I jako malarz dekoracyjny, p. Bulas okazuje się ogromnie bujną, świeżą i pełną poezji indywidualnością. Weźmy pod uwagę osty, które p. Bulas ukochał. Wyolbrzymiały one do potwornych rozmiarów — takie musiały być przed wiekami — pną się w górę, ostrymi kolcami chroniąc się przed wrogiem, a w nadciętych lub nadłamanych miejscach widno ich soczystość żywotną, ich niekłamaną, wielką siłę wewnętrzną do życia. I wszystkie kwiaty, gałązki (n. p. akacji z motylem), krzaki — wszystkie odznaczają się nadzwyczajną siłą, harną barwnością, kipiącem życiem.

P. Bulas wszystko powiększa. Oto te drobne, polne róże, co wyrosły na miedzy wedle Maćkowego pola, te maluśkie, a tak woniejące cudnie, p. Bulas ożywił tchnieniem swej bujnej duszy do wielkich rozmiarów, uciął gałązkę jedną i pokazał ją w powiększeniu. Woń ich rozlewa się błękitnemi strugami... To znów kaktusy — mlecz — i znowu osty, co po naszych polach rosną, te osty szczególniej umiłowane przez p. Bulasa.

Na wystawie obecnej obok Gawlikowskiego, największe zainteresowanie budzą obrazy p. Bulasa. Świeżość ogromna, bujność, młodzieńczy rozmach, to cechy jego.

P. Bulas przyszedł z gór. P. Bulas śpiewa góralską pieśń o życiu wielkiem, słonecznem, utęsknionem przez nas.

Zastęp górali artystów rośnie: oto zmarły Sabała, oto Orkan, Jedlicz, oto Brzega, Stopka, mało znany poeta Lubertowicz, wreszcie młodziutki rzeźbiarz St. Sobczak z Zakopanego, no i p. Bulas... Zawojują świat, jak się naprawdę wezmą do roboty.

Cóżby nie? *Feliks Gwiżdż.*

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

— Czyż tu niema żadnego warsztatu rzemieślniczego?

— Owszem są rozmaite, ale rzemieślników między więźniami jest bardzo mało, większość pochodzi z ludzi bezrolnych, fornali, parobków, wielu zaś nie umiałoby wcale objaśnić, w jaki sposób zarabiało na życie, ot, coś się robiło, co w ręce wlazło; moc jest pijaków, recydywistów złodziei, którzy po lat trzynaście i więcej tu siedzą.

— I ci ludzie tak zupełnie nic nie robią? — zapytałam.

— Prawie nic, odrzekła, siedzą więc dniami całymi zamknięci, po kilkunastu, lub kilkudziesięciu w swych celach, na spacer wychodzą raz tylko na pół godziny, nic zatem dziwnego, iż wyglądają, jak upiory, skóra i kości, przykryte nędzną odzieżą więzienną.

Jakaż to straszna rzecz siedzieć tak lata całe bezczynnie zamkniętym w celi i co za myśli budzą się w tych biednych, przytępionych głowach?

— Więc tu nikt nie zajmuje się tymi biedakami, nikt ich żadnej pracy nie uczy, rzekłam, chociażby młodych — cóż oni robić będą po wyjściu stąd, będą chyba znowu kraść?

— To też to i robią i dlatego jest tylu recydywistów.

— Przyzna więc pani, rzekłam, iż miałam rację, mówiąc, że tu jest moc próżniaków; jedni siedzą zamknięci pod kluczem i kształcą się chyba w rzemiośle złodziejskiem, słuchając wykładów teoretycznych weteranów, drudzy, próżnując, wałęsają się po podwórzach; gdyby zamiast 75 policjantów, było tu dwudziestu nauczycieli, którzyby uczyli tych biedaków czytać, pisać i jakich rzemiosł, ludzkość skorzystałaby trochę więcej, niż dziś.

— Ależ więzienie nie może być szkołą? — rzekła.

— Właśnie powinno nią być, winno być domem poprawy tych, których nędza i ciemnota zawiodły na manowce, nie zaś domem zepsucia, jak jest obecnie.

Spojrzała na mnie zdumionemi oczyma, nie odrzekła jednak słowa, a po chwili odeszła; zdaje mi się, że p. Julja obawia się moich słów, nieraz wydają się jej za śmiałe w więzieniu.

Żal mi tych biedaków, żal serdeczny, i pomyśleć, że w Królestwie jest conajmniej 10 więzień, w nich siedzi przeciętnie po tysiąc ludzi, więc dziesięć tysięcy ludzi trędowatych, bo co oni stąd wyniosą w świat, jeśli nie moralną zarazę?

10. czerwca. Coraz bardziej lubię dzieci, codziennie teraz na spacer chodzę, by mój mały światek zobaczyć. Jak się one cieszą, widząc mię wchodzącą na podwórze; mała, jasnowłosa Izabela odsuwa wszystkich odemnie, „to moja pani“ woła, Mania, jej towarzyszka, żałuje, iż ze mną nie może iść pod numer, Franek i Szczepan trzymają się za ręce, pędzą ku mnie, — i powaga p. Piwońskiego nie pomaga. Matki rozczulone przychodzą witać się ze mną, wczoraj nie spostrzegłam, gdy jakaś biedna, wynędzniała kobieta podeszła do mnie, podniosła suknię i pocałowała ją.

— Na miłość Boga, co też robicie! — zawołałam.

— Niech ci Bóg da szczęście i wszystko dobre za to, żeś taka litościwa dla naszych sierót, rzekła mi w odpowiedzi.

Stanowczo i w więzieniu można mieć uciechę, jak te biedne istoty są mi wdzięczne, i za co? za karmelek dany dziecku, za przesunięcie ręki po jasnej czuprynie dziecka, smażącego się na słońcu — bo przecie nic im dać innego nie mogę; ponieważ obecnie biorę obiady z restauracji, a zaledwo połowę przyniesionego jedzenia zjeść mogę, chciałam więc resztę odsyłać dzieciom, ale odpowiedziano mi, iż regulamin więzienny na to nie pozwala, trzeba mieć osobne pozwolenie od władzy, by dziecku dać kotlet lub łyżkę rosołu. Kudlig tłumaczył mi, iż chodzi o to, by więźniowie polityczni nie mieli żadnych stosunków ze złoczyńcami.

Wogóle więźniowie polityczni są ściśle strzeżeni i tak: gdy wchodzi doktor do celi, Kudlig staje we drzwiach, zrobił to raz i mnie, podczas gdy był doktor, to też, gdy ten ostatni powiedział, że musi mię zbadać, odrzekłam, iż nic nie mam przeciw temu, ale zwracam jego uwagę, iż uznaję tylko ustną spowiedź i jeśli tego nie uwzględni, to obejdzie się bez jego porady; doktor kazał odejść, drzwi zamknąć, ale pewną jestem, iż Kudlig stał przy nich cały czas z uchem przyłożonem do szpary; przyniesione jedzenie z restauracji pilnie też codzień ogląda przed przyniesieniem

go do celi, wszelkie menażki i talerze są przejrzane, mimo, iż wiedzą, że ja w P. nie mam nikogo. Wczoraj zniecierpliwiona tem, iż od kilku dni przynoszą mi dziwnie brudno przyrządzone potrawy, na co już uskarżałam się Kudligowi bezskutecznie, napisałam kartkę o tem do restauracji i włożyłam ją do menażki, sądziłam, iż może Kudlig jej nie dostrzegł, ale o piątej przyszedł Makiewicz. Bardzo grzecznie prosił mię, bym żadnych kartek do restauracji nie pisała, gdyż strażnik obowiązany każdy znaleziony świstek odnieść do kancelarji, tam zaraz, jak mówił, z igły robią widły, i będę miała wiele przykrości. To też prosi Makiewicz, bym wszelkie swe niezadowolenia jemu wyrażała, a on temu zapobieże; zwróciłam jego uwagę, iż już kilka razy mówiłam, że jedzenie jest tak brudne, że ja jeść nic nie mogę, a mimo tego nie zwrócono na to uwagi i dlatego pisałam. Zapewnił mię, iż o niczem nie wiedział i jeszcze raz prosił, bym kartek nie pisała.

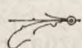
Dziś przyniesiono mi obiad, ale w brudnych menażkach, a sztuka mięsa pokryta już była pleśnią. Zastukałam więc do Kudliga i skoro wszedł, powiedziałam bardzo spokojnie, ale stanowczo:

— Proszę odnieść ten cały obiad do kancelarji.

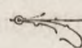
Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Kartek mi pisać do restauratora ze skargą na nieporządki nie wolno, obowiązani jesteście oddawać je do kancelarji i mam mieć z tego powodu nieprzyjemności, żądam więc, by cały ten obiad był odniesiony do kancelarji, i niech zarząd więzienny tem się zajmie, by więzień, który sam swe obiady płaci, nie umierał mimo to z głodu. Wszak pan wiesz, że nie po raz pierwszy oddaję obiad nietknięty. Kudlig chciał coś mówić o starszym, ale powiedziałam, iż wymagam, by zabrał to wszystko i że jeśli jeszcze podobne brudy dostanę, to poślę skargę do gubernatora. Poskutkowało i wyniósł jedzenie, a w godzinę wszedł znowu Makiewicz, ogromnie przepraszając i zapewniając, iż od jutra będę miała obiady z innej restauracji, czyste i porządne.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.



Wacław Tokarz: Ostatnie lata Hugona Kołłątaja. 1794—1812. — Kraków 1905. — Nakładem Akademji umiej., t. 2.

Kołłątaj, postać tak wybitnie odrzynająca się w dziejach odradzającej się Polski, jużto jako niezmordowany członek Komisji edukacyjnej, jużto jako jeden z najgłośniejszych autorów i współpracowników konstytucji majowej, a wreszcie jako doradca Kościuszki i organizator powstania, po tych dniach pełnych działalności już do większego znaczenia nie dochodzi, a choć potem nieraz pośrednio odgrywał i to znaczną rolę, bezpośrednio już nigdy nie uzyskał dawniejszego wpływu. Otóż tą drugą częścią żywota Kołłątajowego, cichszą, niemniej jednak w pracę i zdarzenia obfitą, zajmował się p. Tokarz.

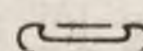
Praca to była żmudna, a zarazem i mniej wdzięczna — żmudna, bo utrudniało ją tło dziejowe, jeszcze dotąd nienależycie wyświetlone, — a mniej wdzięczna, bo postać Kołłątaja, z wyjątkiem może pobytu na Wołyniu, staje się mniej interesująca. Autor jednakowoż z tem wszystkiem daje sobie radę, zużytkował mnóstwo rękopisów, z krzywdą nawet niekiedy drukowanych już pamiętników, tam, gdzie brakowało tła, tam je podmalował bardzo subtelnie, lub uzupełnił, co zwłaszcza widać w epoce Księstwa warszawskiego i dał nam w ten sposób dokładny obraz czynności Kołłątaja w więzieniu austrjackiem, na Wołyniu, w Petersburgu i Krakowie. — A mimo tak dokładnego wizerunku jego życia, brakuje tam pewnego rodzaju perspektywy dziejowej, autor nam go za blisko przed oczy postawił z całą jego robotą, tak, że nie zdajemy sobie dokładnie sprawy z celu i pobudek tej roboty — nadto autor nie dodał od siebie psychologicznego obrazu tej osobistości.

Danie takiego obrazu przy ułamkowej robocie jest okropnie trudnem, już samo nawiązanie tej opisywanej fazy życia do dawniejszej odbiło się dość niefortunnie na wstępie, który jest najsłabszą częścią tej monografji, a jednak podkreślenie niektórych momentów psychologicznych i faktycznych przez autora jest rzeczą nieodzowną, tak n. p. w sprawie kradzieży autor unika jakiejś wyraźnej konkluzji (czyby K. rzeczywiście tych rzeczy nie skrył u Węglińskich, kiedy oni zażądali zwrotu pieniędzy, wydanych na przekupienie Komisji. I. str. 158) podobnie, jak i w całej tej niesmacznej aferze szkoły głównej w Krakowie.

Kołłątaj był to człowiek bardzo zdolny, głowa pełna pomysłów i to wcale dobrych, w obronie jednak których walczyłby ząb za ząb, i to jest właśnie ciemniejszą stroną, łączącą się i ze słabością charakteru. Gdyby nie to, człowiek ten odpowiednio użyty, mógłby zwłaszcza w czasach Księstwa kolosalne oddać usługi, tymczasem dawne jego winy i zbytnia czerwoność jego haseł, położyły mu nieprzepartą zaporę i człowieka tego z ambicją drącego się do zajęcia odpowiedniego stanowiska w rządzie, zamotały tylko w wir niesnasek, wśród których umarł.

Książka, oparta głównie na materjałach rękopiśmiennych, przynosi bardzo wiele i to cennych przyczynków do tej całej epoki.

Bronisław Pawłowski.



Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.